Nr. 33. We Lwowie dnia 13. Sierpnia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Szkice z nad Niewiaży.

1)

Zaczynam »Szkice z nad Niewiaży« krótkim wstępem, zawierającym w zarysach głównych szkic dziejów tego zakątka naszej ziemi, który zowią zwykle Żmudzią; mniemam, iż ten rys historyczny jest koniecznym, albowiem może on wytłómaczyć stosunki obecne i wyjaśnić ich strony charakterystyczne. Rozumie się — to wyjaśnienie może być tylko częściowem, bo ścisłe a dokładne dałoby tylko opisanie bytu ludu, jego wierzeń, stosunków rodzinnych i ekonomicznych i t. d. i t. d., oraz dokładny opis władzy państwowej i jej oddziaływania. Podam przedewszystkiem zarys ogólny dziejów, tak mało znanych śród naszego społeczeństwa w Galicji.

Nim jednak przystąpię do tego, podkreślam stałość i konsekwencję polityki rosyjskiej: celem jej było, jest i będzie zupełne zgładzenie żywiołów polskiego i litewskiego t. j. zrosyjszczenie ich; sprawosławnienie, ale cel ten występował z początku bardzo niejasno i niewyraźnie w formach niezbyt określonych, potem zaś stawał się coraz jaśniejszym i wyraźniejszym, aż nareszcie po wypadkach 1863 r. zrzucił jawnie maskę; wówczas powiedziano otwarcie: musicie stać się Rosjanami prawosławnymi i wyrzec się wszystkiego, co dawniej stanowiło treść waszego życia społecznego i osobistego.

Z początku w tej czynności grał rolę bardzo wybitną i czynną tylko rząd, potem zaś — w miarę rozwoju społeczeństwa rosyjskiego — i z niego wyłoniły się powoli żywioły nam bezwarunkowo wrogie. Trudno powiedzieć w chwili obecnej, jakie warstwy społeczeństwa rosyjskiego są nam nie wrogie? Chyba nie cała biurokracja, nie duchowieństwo prawosławne, nie stan wojskowy?... prawdopodobnie tylko garstka najświatlejszej i zeuropeizowanej inteligencji rosyjskiej żywi dla nas uczucia dobre i życzliwe, reszta zaś — nie zna nas zupełnie, albo zna z kłamstw i fałszerstw tendencyjnych, których tyle na nasz rachunek rozgłosiła nauka, literatura i publicystyka. Rzeczywiście trudno znaleść pracę w języku rosyjskim, dotyczącą dziejów kultury albo ludoznawstwa kresów zachodnich lub nadbałtyckich, wolną od fałszów tendencyjnych!

O podręcznikach szkolnych nie warto i wspominać, bo tam spotykamy takie kwiatki prawdy historycznej, jak zwycięstwo Kozaków pod Wiedniem lub przyjęcie prawosławja przez Chlodwiga, króla Franków! W literaturze też — zastrzegam się, nie u pisarzy pierwszorzędnych — spotykamy się z tendencyjnem fałszowaniem naszej przeszłości i teraźniejszości. Wogóle — trudno o Rosjan, nawet skądinąd uczciwych i rozumnych, którzyby mogli ocenić nas słusznie i sprawiedliwie: na taką przedmiotowość zdobyć się nie mogą grupy poszczególne, należące do społeczeństwa rosyjskiego, zwłaszcza w chwili obecnej, chwili upojenia szowinizmem narodowościowym. Ale wracam do rzeczy, przepraszając czytelników za tych kilka słów nawiasowych.

Katarzyna w swym manifeście o zajęciu i włączeniu W. Ks. Litewskiego do Cesarstwa zapewniała wszystkim mieszkańcom wolność religijną oraz prawa i przywileje dawne, albowiem pisała: »wszystkich uroczyście zapewnia się, że N. Pani raczy potwierdzić wszystkim nieograniczoną niczem wolność nabożeństwa publicznego, ale zapewnia nawet każde władanie prawne oraz bezpieczeństwo mienia i osób pod osłoną zwycięskich wojsk rosyjskich, zatem każdy ma prawo żądać ochrony zupełnie swobodnie na mocy starożytnego prawodawstwa W. Księstwa oraz praw koronnych«. Ale te obietnice pozostały tylko obietnicami, bo sama carowa je naruszyła, wprowadzając podział b. W. Księstwa na gubernje, prawodawstwo rosyjskie — w zamian uchylonego statutu litewskiego — i język do sądownictwa i administracji: jednocześnie też zabrano na rzecz skarbu masę dóbr stronników uprzedniego stanu rzeczy lub działaczy z r. 1794. oraz wszystkie królewszczyzny.

Jednem pociągnięciem pióra, carowa darowała ekonomję szawelską, obejmującą przeszło trzecią część Żmudzi, hr. Platonowi Zubowowi, zamieniając niemal trzecią część ludności wiejskiej, wolnej poniekąd, bo znajdującej się pod osłoną prawa, w poddanych niewolników.

Upadek Rzeczypospolitej spotęgował i wzmocnił poddaństwo, zmieniając stanowczo jego charakter, przekształcając poddanego niemal w niewolnika, przypisanego do ziemi, ale o tem — potem. Zamiary carowej nie doszły jednak do skutku, bo jej syn i następca, Paweł I., uważał za swój najświętszy obowiązek odrobić to wszystko, co zrobiła matka, zatem zwrócił ziemie skonfiskowane, uwolnił wszystkich jeńców, przywrócił statut i prawo magdeburskie oraz język polski w sądownictwie i administracji, tudzież szeroki, dawny system samorządu miejscowego; otoczył czcią, szacunkiem i poważaniem duchowieństwo katolickie oraz pozwolił na organizację odpowiednią duchowieństwa greko-unickiego, zakazał też nawracania unitów na prawosławje. Wogóle zrobił dużo, by ulżyć ciężkiej doli, która wówczas spotkała Litwę i Żmudź. Bodaj to był jedyny monarcha rosyjski, który żywił ku nam uczucia ludzkie!

Wiemy dobrze, że Paweł I. w nocy z 23 na 24 marca został zamordowany przez 5 morderców, śród których hr. Platon Zubow odegrał rolę przeważną; to morderstwo zostało spełnionem nie bez wiedzy i pewnego współudziału Aleksandra I., jego syna i następcy. Ta okoliczność bodaj tłómaczy owo głuche milczenie, które zapanowało w cesarstwie Rosyjskiem z powodu zgonu Pawła I.; dotąd nawet mówi się tylko o katastrofie tej nocy w wyrazach bardzo ciemnych i zawikłanych, ale dających jasno do zrozumienia, że wówczas Paweł stracił życie. Na tron wstąpił Aleksander I., wychowaniec Laharpe'a, przesiąknięty ideami racjonalizmu XVIII. w., a niepozbawiony zamiarów i popędów szlachetnych, lecz skłonny do zaciekań się mistycznych. Dzieci nie miał, brata Konstantego, następcy tronu, nie lubił; stosunki między nimi były zawsze bardzo zimne. W początkach swego panowania okazał się bardzo ludzkim i wspaniałomyślnym: uwolnił wszystkich skazanych za przestępstwa polityczne za rządów Pawła; w ich liczbie znajdował się rozgłośny później jenerał Jermołow. W pewnym pamiętniku, umieszczonym w Ruskoj Starinie, miesięczniku historycznym, znalazłem anegdotkę następną: uwolniony Jermołow napisał kredą na drzwiach kazamatu twierdzy Piotro - Pawłowskiej, w której był uwięziony: »wolny«! Gdy zawiadomiono o tem Aleksandra, ten odparł: »aż do mego zgonu«! Ale obietnica ta została naruszoną, gdy po roku 1815 mrok mistyczny powoli ogarnął jego duszę, a do steru rządów doszedł hr. Arakczejew... Nim to jednak nastąpiło, Aleksander wystąpił w roli reformatora.

Powołany przezeń do Petersburga ks. Adam Czartoryski, jego przyjaciel zaufany, został mianowany pomocnikiem ministra spraw zagranicznych. Przeprowadzono wówczas donośne reformy; w prowincjach zabranych zamianowano gubernatorami Polaków. Rozumie się — wszyscy inni urzędnicy byli tejże narodowości.

Z reform ówczesnych najdonioślejsze znaczenie dla nas miała reforma szkolnictwa, na którą tak wpłynął książę Czartoryski, kierując się ustawami komisji edukacyjnej. Wprawdzie ustawy te działały poniekąd, ale Paweł I. wszechnicę Wileńską oddał księżom Jezuitom, którzy już nawet usadowili się w Wilnie; dopiero za Aleksandra I. przez ks. Czartoryskiego odebrano wszechnicę, a ich jenerał ojciec Gruber*) musiał wyjechać do Petersburga.

To też znakomita ustawa szkolna z dnia 30. (18.) maja 1803 r. została osnutą na ustawach wiekopomnej komisji edukacyjnej; zwrócono szkołom wszelkie fundusze, należące do nich, oraz zapewniono im sutą zapomogę ze skarbu państwa. W tym czasie utworzono w Petersburgu ministerstwo oświaty narodowej: pierwszym ministrem został hr. Zawadowski, Rusin, wychowaniec ks. Jezuitów połockich. Do niego należał nadzór główny, w warunkach ówczesnych prawie rzekomy, albowiem wszystkiem był ks. Czartoryski, kurator okręgu naukowego wileńskiego, do którego włączono wszystkie zabory z lat 1772, 1793 i 1795. Na czele szkolnictwa stanęła wszechnica wileńska, zreorganizowana i zaopatrzona we wszystkie środki niezbędne, jej rektor, ks. Odlanicki Poczobut, astronom znakomity, postarał się ściągnąć najwybitniejsze siły naukowe. Przybyli do Wilna bracia Śniadeccy, Jan i Jędrzej pierwszy z nich wkrótce został wybrany rektorem. Za jego rządów i rządów jego następcy, Fr. Malewskiego, wszechnica zakwitła, stając się jedną z najlepszych wszechnic w całej Europie ówczesnej. Nie mniej zakwitły gimnazja, w które zamieniono dawne szkoły wydziałowe; podwydziałowe zaś stały się powiatowemi. Nad szkołami, utrzymywanemi przez zakony katolickie lub synod ewangielicko-reformowany, wszechnica rozciągnęła swą baczną a rozumną władzę, przepisując sposoby nauczania i postępowania oraz podręczniki. Wysyłając wizytatorów sprawdzała ona rezultaty nauczania. Szkoły powiatowe podlegały gimnazjom, powiatowym zaś — wszelkiego rodzaju niższe i parafialne, w których w języku macierzystym proboszczowie lub ich wikarjusze uczyli dziatwę katechizmu oraz umiejętności czytania, pisania, a w głównych — języka polskiego. Mówię tu o Żmudzi, bo w tej dyecezji od czasów komisji edukacyjnej obowiązywał przepis ówczesnego biskupa ks. Jana Łopacińskiego, nakazujący, aby w każdem miasteczku parafialnem z funduszów kościelnych założono szkołę.**) Ofiarność

*) Zginął w 1805 r. w czasie pożaru domu kościoła św. Katarzyny.

**) Przepis ten, lubo wykonywano go rozmaicie lub nie wykonywano, w zasadzie przetrwał do 1863 roku.

ogółu, który nie żałował grosza na szkoły, zapał profesorów i młodzieży wydały rezultaty świetne: w r. 1825 czy 26 w pow. Szawelskim we wszystkich jego szkołach i szkółkach wizytator wszechnicy wileńskiej narachował przeszło 15000 uczących się płci obojga tj. niemal tyle, ile dziś uczęszcza w gubernji całej. Zachowanie się Aleksandra po kongresie Wiedeńskim, utworzenie Królestwa polskiego, nadanie mu konstytucji, obietnice reformy i wogóle przyjazne postępowanie względem narodu polskiego jednały mu serca mieszkańców Litwy i Żmudzi, acz ludzie przezorni już wówczas palcem wskazywali na dwie czarne chmurki: zamianowanie wodzem naczelnym armji polskiej W. ks. Konstantego wraz z pozostawieniem go w Warszawie oraz naznaczenie komisarzem cesarskim przy rządzie polskim senatora Nowosilcowa, przewidywano też nieuniknione zatargi i nieporozumienia pomiędzy rządami, konstytucyjnym w Królestwie, absolutnym — Rosji. Z początku jednak wszystko to jakoś łagodziło się; sejm 1818 r. zakończył się bardzo pomyślnie, uchwaliwszy wiekopomną ustawę hipoteczną, do dziś dnia obowiązującą. W mowie tronowej król, dziękując sejmowi, obiecał przyłączyć do Królestwa polskiego Litwę, rozciągając na nią konstytucję polską. Wywołało to wprost uniesienie; zebrana na sejmiki szlachta gubernji Wileńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej oraz obwodu Białostockiego prosiła cara o zniesienie poddaństwa, ale nastąpiła odmowa niespodziana, acz przed rokiem pozwolono szlachcie kurlandzkiej znieść je, a liwońskiej i estońskiej — nawet wcześniej, bo w r. 1816. (C. d. n.)

J. Syrokomla.

CIEŃ.

Idę ścieżyną i mijam zboża,
Łany złociste —
Pod stopy śle mi zachodnia zorza
Światło rzęsiste...

Krwawi przedemną miękkie trawniki,
Ruń aksamitną,
Ubraną w jaskry, mchy, rozchodniki,
W rosę błękitną...

Złocista przestrzeń chyli i gnie się
I w takt kołysze,
A lekki podmuch z oddali niesie
Szelest i ciszę...

W oczach się mieni rozkołysana
Rytmiczna fala,
Gdy, w znikającej zorzy skąpana,
Ognie rozpala.

Dokoła klonią poważnie kłosy,
Wysmukłe żyta,
Tuli się kąkol, chwieją stokłosy
I mak rozkwita.

Bławat oczkami patrzy siwemi
Na mnie z ukrycia —
Idę — i marzę tu, na tej ziemi
Słoneczność życia...

Śnię... tędy Boska przechodzi stopa...
Zboża się kładą...
Nagle — dojrzałem w życie twarz chłopa
Śmiertelnie bladą...

Władysław Orkan.

Aleksander Petöfi.

(Z powodu 50-tej rocznicy jego śmierci.)

Węgrzy są zapewne sympatyczniejsi w powieściach Jokaja niż w rzeczywistości; zachowanie się ich względem ludów niemadziarskich nacechowane jest taką bezwzględnością, że mimowoli traci się dla nich uznanie, jakie wyrobił im Jokaj — i pewną słabość naszą do tych miłych bratanków. Z drugiej strony jednak trzeba im przyznać, że są narodem zdumiewającym. Rasa całkiem odrębna, wyspa mongolska w morzu słowiańskiem — zapanowała nad całym splotem rozmaitych ludów; Słowaków, Serbów, Kroatów, Rusinów, Niemców, Rumunów i Włochów — i przez tysiąc lat utrzymuje swe panowanie nad tą całą rzeszą — i trwa — i rozwija swoją własną kulturę, samolubną i krótkowidzącą, ale żywotną w pewnym zakresie — i której omdlenie wcale nie prędko się zapowiada. Pomimo oporu, jaki stawiają madziarom — żywioły obce — dotąd jeszcze Węgrzy mają przewagę, owszem pochłaniają nawet obce pierwiastki i niejeden Fejernagy albo Kaporosi — w istocie nazywa się Markowic albo Weisburger. Opór ten jest to nowa postać, jaką przybrały siły sprzysiężone ku wytępieniu Węgier. Dawniej najazdy Turków i Tatarów, i przemożny wpływ niemczyzny — łamał ducha Węgier; dziś je atakuje pokorny Słowak albo chytry Wołoch. Jednakże Węgry mają niepokonaną wiarę w siebie: legendy o żelaznej koronie malują nam dzieje ciągłego jej znikania i ciągłego odnajdywania... Jak ona się odnajdzie, gdy znikła, nikt tego nie wie, ale każdy Węgier wierzy, że ona odnaleść się musi. Mało gdzie świadomość narodowa tak jest rozwinięta jak na Węgrzech: mało gdzie taka żądza rozlewu swego ducha jak tam: gwałt i przemoc, czy też oczarowanie — wszystko im zdaje się dobrem. Ta bezwzględność czyni Węgrów pierwiastkiem ujemnym w Europie, a zwłaszcza w monarchji austrjackiej. Jednak Węgrzy Jokaja są prawdziwi: bohaterski, tęgi, wojowniczy, pijany miłością ojczyzny i swobody, szlachetny i pełen poświęcenia Węgier z roku 1848 jest postacią na zawsze interesującą i poetyczną.

Rok 1848 był dla Węgrów najpiękniejszym momentem ich dziejów: dusza ich objawiła się tu w całej świetności; był to zdaje się jedyny kraj w Europie, któremu ten rok przyniosł całkowite niemal urzeczywistnienie marzeń. Nie dziw też, że ten rok wystrzelił również pieśnią tak dźwięczną i piękną, jakiej dotąd nigdy Węgrzy nie słyszeli. Pieśniarzem był Aleksander Petöfi — największy poeta węgierski. Rzecz godna uwagi, ten największy poeta węgierski — nie był z pochodzenia Węgrem; był to Słowak — i nie nazywał się Petöfi — ale Petrowicz.

Petöfi jednak był duszą Węgier — i najdoskonalej wcielił wszystko, co w Węgrzech jest najbardziej narodowem.

On pierwszy zwrócił uwagę na straszliwe klęski, jakie przeszła ojczyzna jego — i on pierwszy zawołał: *Talpra Magyar!* Wstańcie Madziarzy! — On pierwszy kazał wierzyć, że Węgry żyją i żyć będą wiecznie:

Srogi Turczyn i Tatar gniótł nieszczęsny lud,
Że Węgry dotąd żyją — ach, to boży cud!
Patrzcie, oto wody Sawy
Toczą nurty tak czerwono:
Ach, to Mongoł wssał się krwawy,
Jak pijawka w nasze łono.
Szła w trop za nim pożoga, blady mór i głód —
Że Węgrzy dotąd żyją, ach, to boży cud!

Odtąd głos Petöfi'ego — to głos barda, który czuwa nad swoim narodem; to pianie koguta, który go budzi ze snu; to wreszcie potężna siła przeczuć, która mu ukazuje w dali rok 1848... Sam o sobie pisze: Rewolucja się zbliża! Czuję ją jak pies węszy burzę! Junacka dusza jego — pragnęła walki.

Niech zabrzmią już — niech zabrzmią już
Bojowych trąb rozgłośne tony:
Wojennych burz — wojennych burz.
Z radością skoczyłbym na grzbiet,
Na grzbiet bystrego mego konia!
W szeregu mężnych byłbym szedł
Jak wicher przez skrwawione błonia!

Zanim jednak nadeszła ta godzina marzeń najwyższych poety, życie jego upłynęło w pracy aktorskiej, literackiej i konspiracyjnej. Nadto — kochał się: najprzód w Etelce Vachot, która umarła w wiośnie życia, a potem w Julji Szendrey, z którą się wkrótce ożenił. — Co się tyczy jego działalności literackiej, to rozpoczęła się ona publicznie w r. 1844. W tym roku wyszedł pierwszy zbiór jego poezji. Całe

Węgry odrazu w nim powitały największego swego pieśniarza. Ówczesna plejada pół-klasycznych jeszcze autorów, jak bracia Kisfaludy, Csokonai, Czuczor, Garay, Dugovics, Josika, Eötvös, Katona — z entuzjazmem przyjęła młodego poetę. Zwłaszcza zaś szczerze się nim zajął najznakomitszy poprzednik Petöfi'ego na Helikonie węgierskim — Michał Vörösmarty. — Dalsze zbiorki Petöfi'ego: *Liście cyprysowe, Perły miłości* wyszły w r. 1845. — Dotąd jeszcze wciąż Petöfi jest lirykiem; wzmaga się jednak na duchu i do epiki przechodzi: w epice mięsza się humor ludowy, fantazja czarodziejska i bohaterstwo wojenne — na tle prześlicznych obrazów natury: *Marja Szuzi (Młot wiejski, Stefan Dziki, Sen czarowny* i in.); koroną tej działalności jest Janos Vitez *(Janko wojak)*, dwakroć przekładany na polskie (przez Duchińską i Sabowskiego); rzecz na ludowych baśniach osnuta, bardzo narodowa i bardzo naiwna, dla cudzoziemca zresztą mało przedstawiająca interesu. Próbował też Petöfi swoich sił w dramacie *(Zöld Ms. Marczi, Tygrys)*, w powieści *(Stryczek kata)* i w opisie *(Szkice z podróży)*.

Najpiękniej rozwinął się talent Petöfi'ego w liryce, której lutnia brzmiała u niego wszystkiemi siedmiu strunami. Była tam nuta miłości, nuta wesołości hulaszczej, była nuta ironii, była nuta gniewu i oburzenia, nuta smutku i tęsknoty; była pieśń natury, tak wichrem dysząca, jak szerokie stepy Alföldu, pełne dzikich koni i wołów, przecięte głuchemi puszczami i wodą Cissy, zaludnione prostym ludem czikoszów (pasterzy koni), juhasów (pasterzy bydła) i betjarów (zbójników); tu dziewczyny tańczą czardasza, tu po karczmach cyganie grają na skrzypcach, tu wino płynie strumieniami; tu będą się toczyły walki o wolność Węgier; i w każdej pieśni — jakby z ust ludu wyjętej — czy to pijackiej, czy tanecznej, czy pasterskiej, drży u Petöfi'ego struna ostatnia, która największym dreszczem poruszała serca Węgrów: struna miłości ojczyzny, struna walki o jej wolność... tchnienie psa, węszacego rewolucję!

Tied vagyok, tied hazám
E sziv, e lélek!
Kit szér tnek, ha tegedet,
Nem szére nelek?

Te słowa, które po węgiersku znaczą: Twój jestem! Twoje, ojczyzno moja, to serce, ta dusza! Kogożbym kochał, gdybym ciebie nie kochał? — te słowa — streszczają całą działalność poety, którego 50-tą rocznicę śmierci obchodzą Węgrzy... I drugi jeszcze fragment, który się wiąże z poprzednim, dopełnia go w znaczeniu czynnem.

Miłość — wolność! W dni moich rozkwicie
Duch mój z niemi w ścisłą wszedł zażyłość...
Za mą miłość dam w zamianie życie,
Za wolności odzyskanie — Miłość...

Te słowa są szczere — i w istocie czynem dowiódł ich prawdy Petöfi. Dusza Petöfi'ego — to rok 48 Węgier; a dla Węgier rok ten był najistotniejszą godziną rozkwitu; był przebudzeniem po długich latach upadku...

Pieśń i działanie, miecz i lutnia — złączyły się w postaci Petöfi'ego. — Kiedy nadszedł rok ostateczny, wówczas młody, świeżo ożeniony poeta — porzucił dom, żonę, pióro, sławę — i został żołnierzem. We wszystkich walkach brał udział — aż go pod Schassburgiem (Segesvar) dosięgła włócznia nieprzyjacielska — zginął, — rzec można, zginął dosłownie, bo ciała jego nigdy nie znaleziono i nikt śród setek trupów, zalegających pole rozpoznać go nie mógł; kości jego spoczywają pomięszane z innemi kośćmi. Długo nie wierzył naród w śmierć swego poety; szukano go po całym kraju i po za krajem, aż nakoniec musiano uwierzyć.

I oto teraz pod jego pomnikiem zgromadziły się tłumy olbrzymie, aby tę godzinę tragiczną upamiętnić jubileuszem. — Stało się jak marzył poeta. Chciałbym umrzeć — powiada,

Zgłuszony od zgiełku i huku i szczęku,
Od bębnów warczenia, wojennych trąb jęku...
Po ciele mojem — rozgrzana bojem —
Zwycięzka niech przemknie konnica nawałą,
Niech zwłoki te martwe potratuje śmiało,
A kości na krwawym rozproszone łanie
Niech zbiorą dopiero, gdy chwały dzień wstanie...

A. Lange.

4)

Gdy lipy kwitły.

Lat kilka zleciało mu bez oddechu, bez obejrzenia się za siebie, ale i bez rzutu oka w przyszłość. Była to jakaś szalona w szalonem gronie gonitwa za wszystkiem, co nasycić mogło. Nie nasyciło jednak. Gdy się wyczerpał i tchu mu zabrakło, stanął i spostrzegł się nagle, że nic nie zdobył, straciwszy bardzo wiele. Wpadł w reakcję rozmyślań i ścisłych ze sobą obrachun-

ków, i tu z przerażeniem konstatować począł deficyt na wszystkich niemal punktach. Jednocześnie uczuł się ogromnie znużonym. Znudzonym przytem do szpiku kości. Wszystko, czem żył, straciło dla niego wszelką ponętę, wszelki nawet cień uroku. Zdawało mu się, że niczego spodziewać się już nie może, niczego pragnąć prawdziwie szczerze i przejął go żal za tym brakiem pragnień. Potem czuł, że jest strasznie poturbowany życiem, że jak męczy go wszelka wrzawa i zachody życiowe, tak również boi się pustki i samotności, pozostania sam ze swemi moralnemi zdobyczami życia. Pragnąłby wyjść z okropnego położenia, lecz wyjścia możności nie widział; czuł, że wszędzie i w każdej chwili poniesie w sobie okrutny cierń ostatecznego zwątpienia i wykrzywioną twarz ironizującego satyra.

Opanowało go to nagle i przez czas jakiś chodził jak potępieniec, chmurny i zgryźliwy tak, że najbliższym nawet towarzyszom przystępu do siebie nie dawał. Zaczęto z ukosa na niego spoglądać i poszeptywać półsłówkami, a potem z pewną obawą oglądano się za nim, gdy wstawał nagle od pełnego stołu i nikł gdzieś w ciemnej ulicy.

Jakoż rzeczywiście podpełzać ku niemu zaczęła, kusząco naszeptując, myśl samobójstwa. Mógłby wprawdzie znaleść łatwiejszą ucieczkę, jak ją znachodzili niejedni; mógł zatopić wszelką pamięć w winie — lecz pomimo, iż w wesołej kompanii nie gardził kieliszkiem, czuł jakąś niedotkniętą jeszcze rozkładem cząstką swego organizmu nieprzeparty wstręt do opilstwa. Prócz wstrętu mimowolną i bezwiedną obawę: »wówczas byłby koniec wszystkiemu,« przemykało mu w myśli, ilekroć widmo pijaństwa jako ratunek stawało mu przed oczyma. Dowodziło to, iż w gruncie rzeczy nie zwątpił ostatecznie o sobie, iż nadzieja wybrnięcia taiła się gdzieś tam w głębi jego istoty i nawet występowała wyraźniej, ilekroć w chwilach bardziej bolących dłoń samobójczej broni szukała.

A takie chwile bolące napadały go coraz częściej. Aż raz, w jedną ze swoich chłodnych, bezsennych nocy, kiedy stygło w nim wszystko i ogarniało go morze bezbrzeżnej martwoty, a ciemność nocna zdawała się być ciemnością grobu, kiedy widział przed sobą długi, wieczny spokój nędznej ciszy, wymarcie wszystkich pragnień, wszystkich uczuć i wszystkiej nadziei i liczył długie dni, które mu z takim trupem we wnętrzu żyć przyjdzie, a nie widział dokoła siebie ani nad sobą nic, coby go z zimnej otchłani wydźwignąć mogło — uczuł żałość nad samym sobą, jak nad tym, któremu wszystko zabrano czem człowiek żyć może, i który znikąd ratunku ani miłosierdzia oczekiwać nie może. I zapragnął wówczas — tak wyraźnie jak niemowlę pragnie pokarmu — czułej, miękkiej dłoni dokoła siebie, zapragnął usłyszeć swe imię pieszczotliwie wymówione, zobaczyć dokoła siebie twarze współczujące a bardzo kochane i ujrzeć się pod niską strzechą, pod którą dzieckiem biegał swobodnie.

Opanowała go ogromna tęsknota za czemś pożywnem, czystem, zdrowem — za czemś, oddawna swojem; za czystym głosem kobiet, za prostą mową swego ludu, za widokiem łanów rodzinnych, za tem wszystkiem, czem płuca jego i oczy karmiły się od dziecka a serce nasiąkało w zaraniu. Spostrzegł również, że to, czem żył przed niedawnemi laty, czego pożądał, dla czego trudził się i piął wysoko, odeszło od niego i roztopiło się w takiej nicości, że śladu nawet dostrzedz za niem nie zdołał. A na spostrzeżenie to nic więcej oprócz uśmiechu zadowolenia z siebie nie znalazł.

I tak, tej jednej nocy powstała w nim szalona tęsknota za krajem, nagła i niezmożona, jak wszystko, co nachodziło na niego. Dziwił się jak pierwej tak wyraźnego przystępu do niego nie miała i począł czynić sobie wyrzuty, iż jakby zapomniał o tem, na co nie pamiętać nie miała prawa. Wprawdzie listy z kraju od czasu do czasu budziły żywszą nutę w jego sercu; ale głosy te coraz bardziej bladły i wreszcie słuchać ich począł, jak echa dawno przebrzmiałej modlitwy. A teraz za to zdało mu się, że zbudziły się wszystkie, jak bicie dzwonów na trwogę, i że nietylko iść powinien, lecz nie iść za ich wołaniem nie może.

Porwał się wśród nocy, zbudził sługę i z sercem żywo bijącem począł układać rzeczy jakby ze świtem ruszyć miał w drogę. Przyszło mu jednak z wyjazdem do kraju zaczekać. Przeciągnęło się staranie o urlop i wykończenie niektórych robót wymagało czasu. Przez te tygodni parę napadł go niepokój taki, iż miejsca sobie dobrać nie mógł. Już mu widoki rodzinnych miejsc i dawnych znanych ludzi snuły się przed oczyma jakby na jawie, już naprzód ku nim myśli wysyłał, stęsknione i żądne jak ptaki z zimowych wędrówek do gniazd wracające.

Gdy urlop wreszcie nadszedł, porwał się, rzucił wszystko, mało nawet kogo żegnając,, i puścił się w drogę do kraju.

Zaledwo oko jego z szyby wagonu rozróżniać zaczęło znany koloryt pól i lasów a ucho z dźwiękiem mowy rodzinnej się zetknęło, ogarnęło go wzruszenie tak silne, iż po dziecinnemu ze łzami walczyć musiał. Wstydził się swego wzruszenia, lecz jednocześnie czuł radość i pewien tryumf w głębi ducha, iż oto nieczułym trupem nie jest, i ta martwota i sceptycyzm gdzieś w pustkowiach uralskich nawiane nie strawiły mu duszy doszczętnie.

Powrót pod strzechę rodzinną niewątpliwie dał mu wzruszeń szczerych niemało; nie był jednak bez rozczarowań.

Albo w odległej i długiej rozłące ustroń rodzinną wyzłocił zanadto tęsknotą, albo dziś innemi niż w dzieciństwie spojrzał na nią oczyma. Co prawda zabrakło już duszy domu, ojca i tylko zielony wzgórek na wiejskim cmentarzu był ca-

łym świadkiem istnienia tego prawego serca i pracowitego ramienia, które krokami synowskiemi niegdyś w dzieciństwie kierowały.

Domek, opuszczony już znacznie i matka postarzała bardzo i strasznie bezradna jakby wszystka moc duszy od niej odeszła — a zresztą wszystko bardzo szare, bardzo drobne i tak przy ziemi, iż mu się wydało dziedziną mrówczą niemal.

Po paru tygodniach pobytu w swojej siedzibie Ostroszczyty coraz wydatniejszymi konturami zakreślać mu się w myśli poczęły; a biła od nich jakaś promienista poświata, a nadewszystko to, od braku czego ścierpła w nim dusza — serdeczne, zbawcze ciepło. Skoro więc matka pierwsza o odwiedzeniu Ostroszczytów, jako nieodzownej konieczności mu napomknęła, nie dał się długo namawiać i nie zwlekając wybrał się w drogę. Nazajutrz był już w drodze ku miastu, a stamtąd pierwszym pociągiem wyruszył i nad wieczorem stanął u celu.

Przyjazd Gromskiego sprawił pewną, dość znaczną sensację w Ostroszczytach. Witano go tu uprzejmie jak wszystkich, kto łaskaw był na Ostroszczyty, domieszała się jednak pewna nutka szczególnego wyróżnienia. Najprzód, był to dawny znajomy, niemal na prawach pokrewieństwa zostający, wtajemniczony we wszystkie stosunki i wypadki rodzinne, powtóre dawno był tu niewidziany, w końcu wreszcie miał za sobą sławę dobrze postawionego, z przyszłością młodego człowieka, niebiednego przytem i, co nie do odrzucenia, wybitnej powierzchowności. Wieść o dostatku w tem wszystkiem była fałszywą zupełnie nutą: z wydatków wnioskowano o dochodach; kogo stać na takie rzeczy, ten ma z czego czerpać — mówiono. W rzeczywistości było jednak inaczej; liczyć się z groszem nie umiał, wydawał wszystko, co zarabiał, a zaś brać z mętnych źródeł, jak to robili inni, nie umiał. Bez samochwalstwa i śmiesznej rozrzutności dorobkiewicza, miał wygląd w istocie dostatniego człowieka, który nie oszczędza się, bo nie potrzebuje, i troski o jutro nie zna. A to imponuje ludziom, nawet takim poczciwcom, jakimi byli mieszkańcy Ostroszczytów. Ojciec dość ugościć i nacieszyć się nim nie mógł; do uciechy przyłączyła się nawet odrobina dumy, jakby ten z ubóstwa własną pracą i głową wyrosły człowiek miał w sobie coś z ich starań i wpływów.

Dawny jego uczeń witał go jak brata i kolegę, Warenicz uczuł się odrazu jak dziecko przy piastunce szczęśliwy, wspominając te czasy, kiedy Gromski mentorował nad nim do pewnego stopnia, nawet już w uniwersytecie. Panie zaś jednozgodnie, nie zmawiając się uprzednio, witały go ze szczególną uprzejmością, pamiętając, ma się rozumieć, o jego niegdyś zapałach studenckich dla Wali. Wówczas żartowano nieraz z młodego szaleńca, ale dziś, człowiek poważny, na takiem stanowisku, uczciwy i rozumny byłby partją wcale nie do odrzucenia. Więc też z ciekawością niewieścią a dyskrecyą delikatnych natur, niby zagadane i nieuważające, bacznem jednak okiem śledziły wrażeń pierwszego powitania.

Najbystrzejsze jednak oko nicby szczególnego nie dostrzegło. Gromski, rozrzewniony przyjęciem, a bardziej jeszcze odnalezieniem dawnych miłych miejsc i ludzi, bez przymusu a z żywością sobie właściwą rękę młodej dziewczyny uścisnął; Wala też dłoń mu podała z cechującym ją wdziękiem, tylko na ustach nie było zwykłego uśmiechu, a szybko spuszczające się rzęsy doszczętnie przysłoniły tajemnicę wejrzenia. Poczem szybko i cicho, jak zwykle, podeszła do samowara, aby zająć codzienne swe przy podwieczorku miejsce.

— Usiądź na mojem miejscu — ja dzisiaj cię wyręczę, szepnęła z uśmiechem siostra i przesiadła się na krzesło Wali. Wala wszakże nie zajęła jej miejsca, obok babuni między starszą siostrą i ojcem i tuż za nim siedzącym Gromskim, lecz obchodząc stół, usługując i goszcząc wszystkich, zbliżała się nieznacznie do szarego końca, kędy Frania, jak jasny motyl, wśród ciemnej odzieży męskiej królowała.

— Przysuń się do mnie — szepnęła Frania, gdy Wala obok niej stanęła i miękkiem ramieniem kibić jej otoczyła. Wali to przygarnięcie było ogromnie przyjemnem w tej chwili; zupełnie mimowoli, z popędu wdzięczności pocałowała w skroń Franię i przysiadła się na brzeżek jej krzesła.

Wśród tłumionego przez uwagę na gościa gwaru szarego końca siedziała odtąd milcząca i bez uśmiechu; piła zwolna herbatę i od czasu do czasu posyłała szybkie lecz uważne spojrzenia w stronę wyższego miejsca; widać, że i słuchem była tam cała, bo nieraz przesłyszała wprost do siebie zwrócone pytanie.

Frania, ułowiwszy jedno z tych jej spojrzeń, usta do ucha przyjaciółki zbliżyła i szepnęła:

— Prześliczne ma oczy!

Wala pochyliła głowę nad filiżanką i żywo mieszać w niej łyżeczką zaczęła.

— Filister, — odszepnęła półgłosem z niechęcią.

Nowy temat zajął w tej chwili uwagę szarego końca; Frania czemuś żywo protestowała, komuś się opędzać zaczęła pulchną, do łokcia odsłoniętą ręką.

A w tym czasie u wyższego końca szła rozmowa o dochodach, jakie przynosi kolej żelazna na wschodzie pracującym przy niej urzędnikom; Gromski opowiadał coś ojcu szczegółowo, od czasu do czasu mowę przeplatając cichym śmiechem.

Frania popatrzyła dłużej na drugi koniec stołu, a potem znowu do ucha przyjaciółki pochyliła się.

— Śmieje się szczerze i wesoło jak dziecko... Wiesz? usta — pocałowaćby można!

Lecz Wala wzruszyła ramionami, dotknięta prawie.

— Karjerowicz! — bąknęła brzegiem wydętych ust. I w tejże chwili podniosła się z krzesła.

Frania probowała przytrzymać ją za fałdy sukni, lecz ona wysunęła się z jej rąk i śpiesznie wyszła z pokoju. I już jej do końca wieczoru nikt tego dnia nie widział. Zjawiła się tylko na krótką chwilę przy końcu wieczerzy, lecz zaraz potem pod pretekstem, iż babuni pomódz trzeba, oddała wszystkim dobranoc i wyszła za babką.

Ceremonialny nieco nastrój, jaki zapanował w domu przy przyjeździe Gromskiego, niedługo dał się utrzymać; w tej demokratycznej rzeczypospolitej, gdzie każdy czuł się jak u siebie a młodzież przodowała, nie było zwyczaju głowy przed nikim uginać; jedyną powagą był tu tylko wiek babki i pozycja pana domu, lecz ci w oficjalnych tylko porach dnia, najczęściej przy stole jadalnym ton poważniejszy towarzystwu nadawali, zresztą była swoboda bez ograniczeń. Obecnie dla Gromskiego zrobiono wyjątek, lecz i to długo nie trwało. Po kilku dniach bardziej etykietalnych nowy gość uważał za właściwe przebąknąć coś o odjeździe; lecz ze strony ojca i pań powstały głosy żywego protestu, a zaś babka przytem tak macierzyńsko położyła mu starą dłoń na jego ręku i z miłym uśmiechem prostej duszy rzekła poufale:

— Gdzie masz tam jechać! ot, zostań lepiej z nami, — że Gromski, ujęty do głębi duszy, nietylko ze czcią, lecz z miłością nieledwie rękę staruszki ucałował i już o odjeździe mowy nie było.

Sam też przeistoczył się zaraz. Jakby obca skóra ciężyła mu etykieta, zrzucił ją wraz z czarnym strojem, a przywdziawszy jakąś jedwabną malinową bluzę, w której, jak Frania zauważyła, »jest zabójczo pięknym« stanął na poziomie i prawach młodzieży i wnet wcielił się w jej życie.

Nie należy sądzić, iżby tu grała rolę wrodzona mu podatność otaczającym warunkom; miał już za sobą kawał życia, przebył niejedne prądy, a przytem dochodził trzydziestki, tego szczytu, na którym zwykły śmiertelnik pozostaje już z tem, co zdołał w sobie wyrobić. Lecz po pracach i burzach żywota spędzonego wśród obczyzny, gorzej dzikości, gdzie zawsze z obojętnymi a często z nieżyczliwymi miał do czynienia, było mu bezgranicznie miłem to odnalezienie dawnych warunków, do których dusza niegdyś przyrosła, tych jasnych fal, które pierwszą młodość jego opłynęły i do wyższych myśli kierowały.

Niejednokrotnie zdawało mu się obecnie, iż czarodziejskim sposobem przeniósł się w dawne lata; duszę mu odświeżał powiew dawnych tchnień i blizny w niej nabolałe cudnym balsamem wygładzał.

Są tak szczęśliwe i tak bogato uposażone natury, które latom, starości wprost urągają; znużenie nie ma do nich przystępu na długo, nieznane im jest zniechęcenie i chłód powolnych; wszystko, co młode, żywe i piękne, porywa za sobą ich ducha tak dobrze w późnym wieku jak i w dniach gorącej młodości; wielkie ideje wieku znajdą łatwo dostęp do ich pojęcia i stoją zawsze na wysokości czynu. Takim ludziom, jakby swym wybrańcom, życie daje co ma najświetniejszego w swym skarbcu: uczuć podniosłe szczyty, sztandary wielkich haseł i miecze czynów i zarówno ściele im pod nogi obfitość kwiecia, które zdaje się dobrowolnie i z pośpiechem na drogach ich wyrastać. Ale jeśli cień na głowę ich zajdzie, ciosy, jakie padają na nich, strasznym są jadem zatrute i wówczas na kwiecistych ich drogach otwierają się przepaści, o głębiach których inni wyobrażenia nawet nie mają.

Gromski dróg innych nie znał; podźwignięty z niedawnej niemocy ducha, utonął w rozkoszy życia jako życia — zdrowego, wesołego, czystego, na tle rozkwitłej natury, wśród ludzi uczciwych. Uczucie wewnętrznego zadowolenia odbijać się wnet zaczęło na zewnętrznym jego wyglądzie i zachowaniu się. W oczach podawnemu zatliły mu się blaski gorącej a wybuchliwej młodości, na ustach pojawiał się często to urywek jakiej poezji, to żart dowcipny, to uśmiech tak szczery, że, jak słusznie Frania mówiła, dziecinny niemal.

C. d. n.

Z pism i książek.

Józef Korzeniowski: O Hucułach, z rosyjskiego języka przełożył i wstępem opatrzył Dr. Br. Czarnik Lwów 1899.

Jestto kilkukartkowa przedmowa, którą Korzeniowski napisał do swego własnego przekładu Karpackich górali na język rosyjski. Przekład ten nie był drukowany, a rękopis znajduje się w ręku wnuka znakomitego pisarza dr. Józefa Korzeniowskiego. W przedmowie tej autor zapoznaje czytelnika rosyjskiego ze zwyczajami, usposobieniem i stosunkami społecznymi Hucułów, aby w ten sposób uczynić dlań więcej zrozumiałą treść swego ponurego dramatu.

Lud. Organ Tow. ludoznawczego pod red. dr. A. Kaliny Rok 1899 zeszyt 3-ci.

Dwie krótkie rozprawki gorliwego współpracownika ludu, p. J. Witorta, rozpoczynają trzeci zeszyt bieżącego rocznika „Ludu“.

W pierwszej pisze autor o „Statystyce a etnografji“ z powodu świeżo wydanej w polskim przekładzie książki Tylor'a: „O metodzie badań rozwoju instytucji w zastosowaniu do praw małżeństwa i pochodzenia“. W drugiej p. t. „Przyczynki kulturalne“ pisze o przeżytkach kultu wody i kamienia.

P. Schnaider drukuje w dalszym ciągu swój „Kalendarz huculski“, a p. Udziela podania ludowe „O miastach zapadłych, kościołach, dzwonach i karczmach“. — Po krótkich zapiskach ludoznawczych z życia żydów dr. Allerhanda, znajdujemy w omawianym zeszycie początek większej rozprawy dr. Eljasza — Radzikowskiego p. t. „Z folklorystyki słowackiej“. — Resztę zeszytu wypełniają drobniejsze przyczynki pp. Świątka, Zawilińskiego, Udzieli oraz Rozmaitości.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.